POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 20 GRUDNIA 1930 ROKU NR. 51

ANDRZEJ STRUG

44)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Nowy napad śmiechu. Eva przeczekała to spokojnie.

— Rozmawiałam przed dwoma laty z nieszczęsnym carem Mikołajem, teraz z tym sympatycznym, skazanym przez los Habsburgiem. Brak mi trzeciego... Kto wie, może w tej wojnie wygasną wszyscy cesarze? Trzeba się śpieszyć z cesarzem Wilhelmem, bo za pół roku może być zapóźno... Pan mnie zna, jestem nieuleczalną snobką, kolekcjonuję ciekawe znajomości.

Generał o tej porze był zdręczony przez Evę do jakichś już przedostatecznych granic. Chwilami szczerze jej nienawidził. Widząc ją otoczoną przez roje mężczyzn, szukał wśród nich współzawodnika i wciąż się gubił w ich masie, podejrzewając codzień kogo innego. Pokojówka korytarzowa w hotelu Careton była oddawna na żołdzie jego biura i co trzy dni składała komu należy raporty. Generał prowadził je pedantycznie i porównywał z doniesieniami agentów i agentek, którzy śledzili Evę na mieście, nie tracąc z oczu żadnego jej poruszenia. Eva miała swoją tekę, a w niej kilka innych, dotyczących szczególnie podejrzanych panów. Byli to — aktor filmowy Feldt, młodszy sekretarz kanclerza Kuhlmana Pilzecker, kapitan sztabu generalnego Lannburg, lejtnant Ramien z gabinetu morskiego Jego Cesarskiej Mości. Byli to ludzie młodzi, niektórzy dość urodziwi. Dalej szli starzy panowie od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat, którym Eva poświęcała znacznie mniej uwagi — deputowany do Reichstagu tajny radca Schellę z centrum, jego kolega socjaldemokrata Noodt, bardzo wpływowy dziennikarz, redaktor „Nordeuropy" Max Edeling. Ten był szczególniej niebezpieczny, był w wieku generała, interesująco piękny, słynny automobilista i uwodziciel, bogaty, bardzo inteligentny i bezczelny.

Aktora filmowego i kapitana generał pozbył się szybko — obu wypchnął na front. Resztę obserwował i jak dotąd nic nie mógł wykryć. Rywalką jego była jeszcze poniekąd pani baronowa von Steth-Schulzburg, w której domu Ewa była jak u siebie, otoczona siostrzaną czułością i adoracją namiętną, wysoce nieopanowaną nawet przy ludziach, a cóż dopiero... Tak o tem sądził generał von Sittenfeld, który u baronowej bywał częstym gościem. Łączył ich stosunek nader osobliwy — uczucie wzajemnej zazdrości o Evę, która bawiła się tem i drażniła obie strony.

Napróżno generał przypominał Evie ich tydzień czerwcowy w Szwarcwaldzie w roku pańskim tysiąc dziewięćset czternastym i wyw ływał czarowne momenty i obrazy. Uśmiechała się i dopowiadała jeszcze od siebie to i owo z dalekich wspomnień i prowokująco bezlitośnie rozpłomieniała go zdręczonego i żebrzącego łaski.

Lubiła go widzieć u swoich stóp, śmiesznie rozciągniętego na perskim dywanie i słuchać miłosnych jęków i westchnień, słów górnolotnych do absurdu oraz bezgranicznych obietnic. W takich chwilach rozważała na chłodno, z całym krytycyzmem, czy generał jest już gotów do podjęcia nad nim pewnego eksperymentu? Czy jego zaślepienie jest zupełne? Czy naprawdę, jak to powtarzał tyle razy — nie odmówi jej niczego i spełni natychmiast wszystko, czego tylko od niego zażąda? Gdy generał ośmielał się zsunąć jej z nóg pantofelki i mrucząc jak niedźwiedź, który dobrał się do miodu, palił jej stopy gorącem swoich ust i oddechu, namyślała się czy udzielić mu dla zachęty cośkolwiek więcej, czy też mądrzej będzie wytrzymać go aż do końca i dopiero uzyskawszy maximum tego, co można będzie z niego wyciągnąć, oddać mu się, lub równie dobrze zerwać z nim i skończyć. Taki człowiek może się mścić — ale cóż on może jej zrobić?

Pewnego razu, było to u niej w hotelu, czuła się do ostateczności znudzoną zaklęciami i przysięgami, które powtarzały się do obrzydzenia. Stało się to jakby rytualną litanją błagalną, którą już umiała na pamięć, powtarzały się te słowa: — Dlaczego? Evo, dlaczego, na miłość boską? Warum?... Warum?...

— Więc powiem panu dlaczego... Oto, znużona wojną, uczyniłam przed rokiem ślub mistyczny, złożyłam go przed samą sobą, tem niemniej obowiązuje on mnie tak samo, jakbym to była uczyniła najuroczyściej, w kościele przed ołtarzem, wobec tłumu ludzi. Ślubowałam, że nie oddam się nikomu aż do końca wojny. Może to śmieszne, ale my katolicy dotrzymujemy zobowiązań wobec Boga.

— Wobec Boga?! Pani sobie ze mnie drwi?

— Bynajmniej, jest to dowodem najgłębszego zaufania, że wogóle wyznałam panu moją tajemnicę. Pan myśli, że ja jestem z kamienia? Że mnie to nic nie kosztuje?

Generał nie mógł mówić ze wściekłości. Dźwignął się z ziemi od ubóstwianych stóp i zmagał się ze sobą. Wydzierał się zeń człowiek pierwotny, dziki brutal. Rozwiał się urok panowania Evy, niewolnik się zbuntował. Gotów był rzucić się na nią i sponiewierać te jej wszystkie świętości. Nienawidził jej do szaleństwa. Eva spokojnie paliła papierosa, jej promienne, zielone oczy spokojnie wytrzymywały jego wście-

kłe spojrzenia. Wreszcie przemogły nawyknienia kultury, generał opamiętał się.

— Wasze ślubowania katolickie... mistyczne... Jeżeli to wszystko nie proste drwiny... Zapewne spowiednik pani, jakiś mądry kazuista jezuicki, dla złagodzenia ostrości tych wyrzeczeń pozwala, a może i sam doradza... Z osobą tak miłą jak baronowa von Steth-Schulzburg znacznie łatwiej dotrzymać ślubu...

— Ach, pan posądza tę biedną Lisbeth?... Bardzo śmieszna zazdrość...

— O pani i o Lisbeth mówi cały Berlin!

Eva zaśmiewała się bynajmniej nie urażona i kaskadami śmiechu gasiła jego wymyślne złośliwości. Generałowi przypomniał się szatański urok szyderstwa Clary Jou-Jou, ulicznicy portowej z filmu „Jedna noc w Marsylji".

— Dosyć tych żartów, piękna Evo! Proszę mi odpowiedzieć wręcz, jak długo mam jeszcze czekać?

— Powiedziałam. Do końca wojny. Naturalnie, nie do zawarcia pokoju, bo to byłoby zadługo, nawet dla mnie, ale do zawieszenia broni. W pewnym roku, w jakimś miesiącu o godzinie X, gdy ustanie rozlew krwi, będę zwolniona z mojego ślubu... Z jakąż rozkoszą oddam się panu, jedynemu na świecie mężczyźnie, którego pożądam... Ja panu wynagrodzę wszystkie udręczenia...

I margrabina Destalguèz z „Circe" patrzyła nań oczami zamglonemi namiętnością, z rozchylonemi ustami, dysząca pożądaniem. Generał w odpowiedzi chwycił ze stolika chiński wazon, dar hrabiny von Steth-Schulzburg i cisnął nim o ścianę. Świetny ciemnobłękitny wazon, po którym pełzały złote i srebrne jaszczurki, zadźwięczał i rozsypał się w proch. Eva zdawała się tego nie dostrzegać. Kusiła spojrzeniem, uśmiechem, bezwładem całego ciała. Wreszcie wyszeptała:

— Możemy przyśpieszyć nasze szczęście...

— Jak?! Co mam zrobić?! — krzyknął generał z brutalną groźbą w głosie. Na sekundę zaślepiło go potworne przywidzenie. Przez sekundę pomyślał zupełnie serjo, że Eva jest obcą agentką i opętała go jedynie w celu wymuszenia na nim jakiejś niemożliwej zbrodni.

— Niech pan posłucha spokojnie i rozważy rzecz jak mężczyzna, jak dygnitarz, który ma wielką władzę, jak prawdziwy mąż stanu... Nie namawiam pana do niczego złego, poprostu chcę, żeby pan zrozumiał, że jest w naszej mocy przyczynić się w pewnej mierze do przyśpieszenia końca wojny, a przez to samo...

Generał jak rażony udarem, osunął się na fotel, bezwładnie zwiesił ramiona, głowa opadła mu na piersi. Sapał. Zaczął wzdychać. Jęknął raz i drugi, poczem zachlipał cichuteńko, bezsilnie. Płakał jak stary, nieszczęsny człowiek, opuszczony przez wszystkich i bezradny. Nie miał już żadnych chęci ani pożądań, jego twarda dusza zwiotczała na szmatę. Zapomniał, kim był, znikła godność własna, ambicja, zatracił się w nim ostatni okruch wstydu. Był sponiewierany, pokorny jak zbity pies i gdyby w tej chwili Eva zażądała od niego niepodobieństwa, zbrodni, hańby, zdrady, nie znalazłaby w nim sprzeciwu. Oddał by jej klucze i znaki od stalowych szaf w swojem biurze, patrzałby bez strachu i zgrozy, jak jej przecudne, szpiegowskie ręce grzebałyby w najtajniejszych dokumentach... Nawet nie żądałby za to nagrody. W swem niezgłębionem poniżeniu nie spodziewał się już niczego.

Eva obserwowała go z niezmiernie natarczywą, ale z całych sił poskramianą ciekawością. Nie odzywała się ani jednem słowem, żeby nie spłoszyć jakiegoś czaru, żeby nic nie ująć z działania tajemnego jadu, który teraz właśnie przesącza się po labiryncie zwojów mózgowych tej czaszki, okrytej czarno-siwym spotniałym włosem. Bała się odetchnąć głośniej, odwracała oczy od zwieszonej, skołatanej głowy, żeby bodaj siłą swego spojrzenia nie uroczyć przesubtelnego momentu, gdy dawny niezłomny generał von Sittenfeld przeobraża się i zamiera, kiedy na niemożliwej możliwości, nikłej jak nić jedwabnika, wisi i polega wszystko. Nawet w głębi myśli wstrzymywała upust pierwszego tryumfu nad przeciwnikiem, odkładała na później swoją radość z przełomu, na który ciężko zapracowała. Trzymała na wodzy swoją moc opętującą, która z niej promieniowała i usiłowała zapomnieć bodaj na chwilę o swej ofierze, myśleć na razie o czem innem.

Całą swoją istotą czuła upojenie, unosiła się ponad ludźmi i ludzkością, ponad zagmatwanem straszliwem zjawiskiem wojny. W tej chwili jej zamiary nie miały żadnego celu, jej radość nie posiadała w sobie treści. Igrała życiem, ludźmi tak samo, jak swojemi myślami. Nikomu nie sprzyjała, nikogo nie zwalczała.

Losy narodów? Wynik nawałnicy światowej? Czyż nie były to sprawy wyobrażone? Czyż jednem skinieniem myśli nie mogła zgasić w sobie ciekawości do wojny a przenieść jej na co innego, na jakieś głupie dziwactwo, na byle co? Uczyni to, kiedy jej się wreszcie znudzi. Narazie pochłania ją gra, ciekawy, niebezpieczny eksperyment nad ciekawym i niebezpiecznym człowiekiem. Jest to zabawne i nieco straszne, ale strach jest naprawdę rozkoszny w swej powikłanej subtelności.

Zresztą nic jej nie grozi poza niepowodzeniem próby. Jeżeli zawiedzie generał, zostaje redaktor „Nordeuropy", który zna wszystkich, zostaje hrabina von Steth, która dla niej nie zawaha się pójść na szubienicę, zresztą jest i stary szpieg van Trothen, który pomimo wzdragania się i strachu przed jej szaleństwem jest również opętany grą i wciągnięty w wielką aferę.

Nigdy jej nie zabraknie bezwiednych pośredników, agentów, naganiaczy, czemuż nie ma przy sobie nikogo, komu mogłaby odsłonić swój plan w całej jego obłąkanej odwadze?

Było jej dumą, że jest samotna, i że gdy zwycięży, z nikim nie będzie dzieliła zasługi, ale chwilami sama przestawała wierzyć w możliwość, a nawet w sens swojego zamierzenia. Było ono ogromne do absurdu i czasami w momencie zwątpienia po zbyt ścisłej analizie pozostawał zeń czysty absurd, marzenie, poczęte w malignie. Nie miała objektywnego sprawdzianu, van Trothen, zakamieniały bez wyobraźni rutynista, nie zdolny był ogarnąć jej idei i potrafił tylko szydzić. Kogoż innego mogła wtajemniczyć, u kogo szukać rady? Trzeba samopas brnąć dalej w nieprzebyty gąszcz kłopotów, niespodzianek, zawodów, niebezpieczeństw. Przymus własnego zachcenia pchał ją naprzód i z fantazją, z brawurą wyzywał trudności i niebezpieczeństwa. Cokolwiek będzie i jakkolwiek się to skończy, Eva Evard odegra swoją rolę w wojnie narodów świata.

(D. c. n.).

JANUSZ MEISSNER

2)

A S

— Kończą się starsi panowie — powiedział sobie: — zabijają się, tracą dawną brawurę, nie czują maszyny, przestają latać... I ja kończę się także.

Trzeba było jednak dostatecznie wypróbować samolot: brał za to pieniądze.

— Zrobię beczkę i korkociąg — pomyślał. — To dosyć. Mam przecież spadochron — stwierdził dla uspokojenia samego siebie.

Zachodził pod wiatr, długo nie mógł się zdecydować. Odkładał tę chwilę z sekundy na sekundę. Tak wszedł nad skraj lotniska, minął dwa hangary i znalazł się nad kołem z nazwą portu, wyciętą wielkiemi literami w murawie.

Nie można było zwlekać dłużej.

Przemógł się, poderwał i położył na burtę stery.

Wyniosło go w bok, zarzuciło po niebie, wymiotło ziemię z pod spodu. Poczuł rosnący nagle, a potem łagodniejący zwolna ucisk całego ciała w siedzeniu gondoli. Nie myśląc o tem, co robi, automatycznie wyrównał i sparował inercję przewrotu. Wypłynął gładko do poziomu.

Wiedział, że beczka wypadła dobrze.

— Wypadkiem — zauważył krytycznie.

Łagodnie, wolno wprowadzał w korkociąg. Poddała się łatwo i miękko. Skrzyżował do końca luźne stery i czekał. Szła w pionowych zwojach, rozpędzając się coraz bardziej. Nie dowierzał własnej ocenie wysokości, więc patrzył na altimetr, aby wyprowadzić na czas. I — dla pewności — wyrównał o 100 metrów wcześniej, niż zwykle. Zrobił to niepewnie, z wahaniem. Ale maszyna posłusznie wymknęła się ze skrętów i cichnąc popłynęła w płytkim wirażu nad straj lotniska.

Odetchnął z ulgą: o lądowanie mógł być przecież spokojny.

Lądował — jak mu się z początku zdawało — dobrze, ale podwozie trafiło na jakąś nierówność pola i maszyna podskoczyła kilkakrotnie, zanim osiadła i potoczyła się gładko w stronę hangarów. Przytem źle obliczył miejsce lądowania i musiał paręset metrów ciągnąć po ziemi na gazie.

Obstąpiono go kołem i zarzucono pytaniami.

— Maszyna bardzo dobra — powiedział. — Łatwa, zwrotna, przyjemna w prowadzeniu.

Omawiał szczegóły z Sandersem, obserwując nieznacznie obecnych: czy nie wyczyta w ich twarzach rozczarowania, czy nie padnie słowo nagany za brak czystości linji w jego akrobacji, czy nie pochwyci lekceważąco pobłażliwego lub krytycznego spojrzenia czyichś oczu.

Nie: patrzono nań i rozmawiano o nim, jak zwykle, z tem uznaniem, które stało się już dawno rzeczą powszednią i naturalną: *wiadomo — Swoszowski.* Kilku młodych podporuczników — z podziwem i entuzjazmem: *ach, Swoszowski!*

Wtedy nagle poczuł, że ich oszukuje. Że nie jest już tym, za kogo uważają go wszyscy; że nie może z całą pewnością stwierdzić zalet i właściwości samolotu, że „Sanders P. Z. L." nie został właściwie oblatany przez niego tak, jak tyle innych maszyn. Że to, co o nim mówi — mówi bez przekonania, że — być może — poprostu kłamie, aby tylko powiedzieć cokolwiek...

— Dobrze byłoby, żeby ktoś inny jeszcze polatał na tym samolocie — zauważył, siląc się na ton obojętny i rzeczowy. — Może to zorjentowałoby pana dokładniej? — zwrócił się do Sandersa.

Inżynier uśmiechnął się.

— Pan jest zbyt skromny, panie majorze — odrzekł. — Myślę, że nic bym się nowego nie dowiedział od innych. Pańskie uwagi zupełnie mi wystarczą.

— Sądząc z tego, co pan mówił, maszyna jest bardzo udana? — wtrącił kierownik warsztatów.

— Wspaniała — powiedział bez przekonania Swoszowski.

* * *

— *„Dnia 24 września odbędzie się w Belgradzie międzynarodowy konkurs prototypów samolotów myśliwskich, w którym weźmie udział mjr. Swoszowski na samolocie „Sanders X" z Państwowych Zakładów Lotniczych. Szczegółowy program konkursu przesyłam w załączeniu".*

— Nie polecę — oświadczył Swoszowski.

Pani Wanda odłożyła książkę i spojrzała na męża z wyraźnem zdumieniem. I ona też zżyła się już z jego sławą doskonałego pilota.

— Nie polecisz — dlaczego? — spytała.

Przysiadł się do niej blisko. Pomyślał, że jej tylko jednej może powiedzieć prawdę.

— Widzisz, — zaczął — wszyscy starsi piloci zaczynają się wycofywać z lotnictwa. W zeszłym tygodniu Małecki zrzekł się dodatku lotniczego i zameldował, że więcej latać nie myśli. Dziś na własne żądanie pojechał do Centrum Badań Lotniczo - Lekarskich Zabiełło, który chce iść na emeryturę. Taki bojowy pilot... Przed paru dniami — pamiętasz? trochę deszcz padał — jeden z najlepszych dawnych pilotów zaniechał przelotu, bo była „zła pogoda". Wszyscy z moich czasów. A ja — — —

— Widziałam, jak oblatywałeś *„P. Z. L. X."* Za mało znam się na tem, ale przecież wszyscy mówili...

Machnął ręką, nie dając jej dokończyć.

— Oni nie mogą wiedzieć — rzekł. — Z ziemi inaczej to wygląda. Właśnie oblatując nową maszynę Sandersa, spostrzegłem *to*. Widzisz — ja mam wrażenie, że tracę czucie. Staję się zbyt ostrożny; za bardzo myślę o tem, co robię w powietrzu, nie wiem napewno, czy robię to zupełnie prawidłowo; nie jestem pewien siebie, nie mam zaufania do swej sztuki. Ja — — wiesz, ja myślę, że i na mnie już czas przestać latać: jestem skończony starszy pan, tak samo jak tamci.

Pani Wanda uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

Tyle przeżyła ciężkich chwil, kiedy w szarą mgłę wylatywał gdzieś daleko i kiedy prosiła, patrząc mu w oczy: — Zawrócisz, jeśli będzie bardzo źle, prawda? — choć wiedziała, że poleci nawet poniżej wierzchołków drzew, bo dla niego nigdy nie było jeszcze „bardzo źle". Mówił: — „Zawrócę, naturalnie". Uśmiechała się wtedy tak samo. Uśmiechała się tak, kiedy ją zapewniał, że wyląduje przed zmrokiem, że nie wyleci zbyt późno, że ominie burzę, że nie będzie robił niebezpiecznych szaleństw bez spadochronu, że na zawody akrobacji poleci w hełmie ochronnym na głowie. Uśmiechała się i była dumna, że nie dotrzymywał obietnic.

Okupywała tę dumę szalonym niepokojem w ciągu długich godzin jego nieobecności i między jednem a drugiem wydaniem dzienników z depeszami o wynikach zawodów lotniczych. W najwyższem napię-

ciu nerwów słuchała na mecie wiadomości o przebiegu raidu, kiedy wymieniano jego nazwisko na któremś z dalszych miejsc. Odczuwała cały wysiłek jego woli, aby wysunąć się naprzód, a kiedy na każdym etapie wyprzedzał innych o kilka minut, nie mogła usiedzieć na miejscu z emocji. Wpadała w rozpacz, gdy przez megafon ogłaszano jakieś drobne niepowodzenie jej męża, a wreszcie, gdy za warczącem na ziemi już śmigłem rozpoznawała jego sylwetkę, nakazywała sobie spokój i witała go tak, jakby pewna była od samego początku, że przyjdzie pierwszy. Potem, już przy jego boku, z uśmiechem dumy patrzyła, jak ku lotnisku wali raid, jak z za horyzontu idą jedna za drugą grzmiące silnikami samoloty, przybywając wszystkie p o n i m !

— Swoszowski na pierwszem miejscu — tak było prawie zawsze.

— To, że inni przestają latać — powiedziała — niczego nie dowodzi. Ja nie wierzę, abyś ty przestał kiedykolwiek. I ty też w to nie wierzysz. Może przygnębiły cię te wszystkie historje, które w ostatnich dniach się wydarzyły. Może to sugestja, a może poprostu miałeś swój zły dzień, oblatując Sandersa.

Kręcił głową z powątpiewaniem.

Zaniepokoiła się. Tak bardzo chciała mu pomódz. Wiedziała przecież, że bez latania nie zdoła wytrzymać długo. Wiedziała, jak bardzo kocha swój zawód i jak do głębi duszy tkwi w lotnictwie.

— A jeśli naprawdę to już kres? — zadała sobie pytanie.

Czyż mogła podtrzymywać jego ambicje asa, skoro asem być przestał? Czy mogła narażać go na śmierć swoją wiarą w niego? Czy mogła z drugiej strony współdziałać z — chwilową być może — depresją duchową doskonałego pilota, jakim był niewątpliwie, i przeszkadzać mu w odzyskaniu zachwianej równowagi? Czy mogła uwierzyć w to, że się przelatał?

Zostawić go samemu sobie? Bezczynnie czekać, aż dojrzeje proces myślowy bez jej wpływu? Patrzeć spokojnie i obojętnie, jak załamuje się kochany człowiek w walce z samym sobą, czy też przeciw urojonym własnym niedomaganiom?

Ogrom odpowiedzialności przerażał ją. Nie wiedziała, co począć.

— Mój mały — powiedziała wreszcie. (Mówiła do niego „mój mały", choć był wysoki i silny). — Mój mały, nie wiem doprawdy, jak ci poradzić. Pomyśl, czy nie najlepiej spróbować jeszcze, zanim odmówisz stanowczo? Może to, o czem mówiłeś, minie. Może to naprawdę chwilowe? Przecież tak z dnia na dzień nie można stracić czucia.

Spojrzał na nią uważnie, uderzony tą myślą.

Mówiła teraz z zapałem, widząc, że twarz mu się ożywia pod wpływem jej słów i że słucha jej uważnie. Mówiła o tem, jak latał dotąd, o jego sławie i całej przeszłości, trwającej jeszcze do wczoraj, o tem że zupełnie naturalną rzeczą może być przecież jego przemęczenie przy tak wielkiej ilości godzin, które prawie codziennie spędzał za sterem, o tem, że zły nastrój minie i że znów będzie się czuł w powietrzu pewnie, jak zwykle. Mówiła z wiarą i z przekonaniem. Potrafiła podnieść go na duchu i usunąć chmurę szarych myśli z jego czoła.

Uścisnął ją serdecznie i znów miał takie jasne, mocne oczy, patrzące daleko przed siebie, jak wtedy, gdy obiecywał jej, że będzie bardzo ostrożnie latać.

* * *

Przez kilka następnych dni lał deszcz i ponure chmurzyska włóczyły się tuż nad ziemią. O jakimkolwiek treningu nie mogło być mowy.

Na dzień przed odlotem Swoszowskiego pani Wanda wyjechała do Belgradu koleją. Była bardzo niespokojna i chciała być blisko męża w czasie konkursu.

Odprowadzał ją na dworzec. Omal się nie spóźniła na pociąg i w pośpiechu zapomniał dać jej gazety, które kupił po drodze. Dopiero w domu zauważył wystający z kieszeni płaszcza plik dzienników.

Zapalił papierosa i przeglądał je odniechcenia. Nagle drgnął i zaczął gorączkowo czytać. Tłusty druk biegał mu przed oczyma tam i z powrotem, szybko, coraz szybciej, łącząc się w suche słowa i zdania.

Treść depeszy była krótka: niemiecki pilot Geber, podczas próbnego lotu na nowym myśliwskim samolocie, przeznaczonym na konkurs prototypów w Belgradzie, uległ śmiertelnej katastrofie.

— Początek serji — pomyślał mimowoli Swoszowski, odkładając gazetę.

* * *

Deszcz przepadywał jeszcze zrana, ale widać było, że się rozjaśni.

Koło dziesiątej zaczęła napływać publiczność, a o jedenastej, kiedy wyjrzało słońce, trudno się było dotłoczyć do zarezerwowanych miejsc na tarasie portowego pawilonu.

Pani Wanda przybyła nieco wcześniej i, odnalazłszy swoje krzesło, studjowała program, tłumiąc budzący się wraz z silniejszem biciem serca niepokój. Z mężem widziała się zaledwie przez krótką chwilę w hotelu, gdyż zaraz musiał jechać na lotnisko, aby załatwić mnóstwo formalności i dopilnować przygotowania maszyny. Zauważyła, że jest znów przygnębiony, choć starał się pokryć ten nastrój sztuczną wesołością i ożywieniem. Łatwo domyśliła się powodu: wszystkie pisma podały wiadomość o śmierci Gebera...

Gdy po godzinnem oczekiwaniu pierwsza maszyna śmignęła nad tłum w zawrotnym skręcie immelmana, niepokój pani Wandy zaczął się wzmagać i rósł z minuty na minutę.

Pilot latał z sercem i ryzykował wiele, pokazując zachwyconym oczom widzów, do czego zdolny jest jego samolot na małej wysokości. Nie łatwo byłoby dorównać mu odwagą i zręcznością.

Pani Wanda czekała teraz na lot Swoszowskiego, jak na nieuniknione fatum, jak na wyrok trybunału, który mógł skazać go, lub ocalić. Czuła się winną jego decyzji wzięcia udziału w konkursie i z każdą chwilą bardziej bała się o jego życie.

A jeżeli rzeczywiście przelatał się i przeczuwał nadchodzący kres?

Wiedziała, że teraz było już zapóźno, że nie mógł się już cofnąć, że musiał polecieć za wszelką cenę, bez względu na to, czy wierzył w swe siły, czy też nie.

(D. c. n.).